

## "Solidarność" na zadupiu

---

"Solidarność" tworzyła się nie tylko na wybrzeżu, czy Śląsku. W ferworze dziaiejszej dyskusji i licytowania się na zasługi "wielkich opozycjonistów", zdają się oni o tym zapominać. Ośmielam się więc im przypomnieć, że w „Polsce lokalnej” też tworzył się ten wielki ruch społecznych nadziei.

Nie jestem z Gdańska, Szczecina Warszawy, ani z Krakowa, z Radomia czy innego Jastrzębia. Mieszkam, od pięćdziesięciu ponad lat w mieście 60. tysięcznej. Nie pracowałem też w wielkim kombinacie, choć takie u nas są, ale w spółdzielni inwalidów. Mimo to... tworzyłem „Solidarność”.

W ostatnich dniach sierpnia wpadł do mojego biura, pracowałem wtedy, nomen - omen w BHP (to w związku z salą w stoczni), mój kolega imiennik.

Położył mi na biurku kartkę A-5 i polecił przeczytać:

**„Zwracam się z prośbą wypisanie mnie z członkostwa CRZZ**

**A... ..”**

Napiszesz? Było mu głupio samemu zanosić takie pismo do Zarządu. W telewizji huczało od gdańskich relacji, zgodziłem się więc bez wahania. Nie tylko się zgodziłem. Nie mogłem od tego momentu spać, jeść, byłem kompletnie zakręcony. Jak mogłoby być inaczej, kiedy 21-letni chłopak jest „pisarzem” historii. Napisałem więc identyczną kartkę, z własnym podpisem rzecz jasna i czekałem na kolejne telewizyjne relacje.

Kilka dni później, mój kolega, pracujący w biurze obok zresztą, przyniósł mi kartkę A-4 z jakimś tytułem, rubrykami i kilkoma wpisami:

**„Wpisz się. Takie kartki nie mają sensu, trzeba zrobić listę”**. Rzecz jasna się wpisałem, ale... byłem już... czy ja wiem... może dziesiąty, dwunasty, a może siódmy. Zapytałem go, dlaczego nie przyszedł od razu, ale coś tam..., ze mnie nie było... Jednak choć jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy, wszyscy na tej liście przede mną, byli magistrami lub inżynierami. Byłem jedyny podpisując, który nie mógł poszczycić się takimi literkami. Wtedy jednak tego nie dostrzegłem, chociaż oni chyba tak.

**„Stary, robieś tam, wszyscy Cię znają i lubią** (to akurat była prawda, lubiłem ludzi i oni mnie lubili - czułem się w tej pracy jak ryba w wodzie), **weź listy, niech się ludzie zapisują”**.

I biegałem, łąziłem po wydziałach, namawiając ludzi do utworzenia NSZZ (wtedy jeszcze nie nazywał się „Solidarność” jeśli mnie pamięć nie myli - to było parę dni później. Chociaż głowy nie dam, pewne niuanse się jednak zacierają.

I pewnego popołudnia (po pracy) mój imiennik, co by nie mówić, facet wykształcony, niesamowicie inteligentny, anty..., (pokazał mi kiedyś - dużo przed sierpniem, czerwoną książeczkę Mao Tse Tung), zwołał zebranie nowych związków zawodowych. Było nas, tak jak początek listy, około dziesięciu. Związki Zawodowe, wiadomo, muszą mieć władze, jakieś tam umocowanie w zakładzie, żeby np. zbierać składki, no i... zarząd. Jak już wspomniałem, choć wszyscy doceniali moja rolę, byłem..., ... oni to lepiej zrobią jakoś, bo oni...

Nigdy nie dobiegałem się do jakichs zaszczytów, choćby z powodu mojej choroby (od urodzenia), która mnie np. z bezpośrednich kontaktów międzyludzkich wyklucza (ze względu na wygląd). Jednak wtedy, jakoś dziwnie poczułem się upokorzony. Warto wspomnieć, że wśród całej grupy „założycieli” byłem jedynym niepełnosprawnym, a rzecz się działa w spółdzielni inwalidów.

Miałem potężne problemy osobiste (wiadomo - niepełnosprawność), rodzinne (ojciec... wlewacz absolutny i agresor) i doszła frustracja „z pracy”. Dodam, ukochanej pracy, bo wiele w życiu prac doświadczyłem, ale tam było moje prawdziwe miejsce.

Zacząłem chlać, na złość babci, unikałem mojego kolegę imiennika (domyślił się, próbował coś tam tłumaczyć, ale

nie słuchałem) i innych, postanowiłem iść „do łopaty”. A przy łopacie moje chłanie okazało się przedszkolem, skończyłem jednak studia (chłańskie) i nawet wśród znajomych byłem chyba profesorem "od picia" po dłuższej praktyce.

Z czasem przestałem mieć (słusznie) pretensję do mojego imiennika, chociaż widziałem jak on i inni „założyciele” rozmiękali się na drobne. Dość wspomnieć, że ludzie, przeciwko którym wystąpiliśmy i z którymi toczyliśmy mocne dyskusyjne pro i anty-komunistyczne boje, stali się kolegami mojego imiennika. Mimo dużej różnicy wieku mówili sobie po imieniu, a dzisiaj mój imiennik jest prezesem spółdzielni. Nie było by w tym nic złego, naprawdę był mądrym prawnikiem a w dodatku budowlańcem. Kiedy jednak poszedłem tam kilka lat temu po jakieś dokumenty, musiałem zdobyć jego jakiś tam podpis. Jakież było moje zdziwienie, kiedy wszedłszy, usłyszałem: **„Dzień dobry panie A..., o co chodzi?”**. Nie wiedziałem jak się zachować, ale odpowiedziałem coś w rodzaju: **„Cześć A..., widzę, że fajnie Ci się wiedzie. Potrzebuję Twój podpis”**. Moja obecność wyraźnie sprawiła mu dyskomfort.

Mimo wszystko jednak, i mój imiennik, i moje durne, pokręcone i nieodpowiedzialne zachowania w tamtym okresie, nie zabiorą mi **mojej „Solidarności”**. Mojej, bo bez względu na wszystko, zostawiłem tam kawałek swojego życia. Swojej pasji, swojej dobrej roboty, zauroczenia i wiary wreszcie.

I tak zostanie. Zawsze. Chociaż "Solidarność" często odpłacała się pięknym za nadobne. I to nie tylko teraz. Najbardziej po roku89.



Niniejszy certyfikat służy do zgromadzenia Funduszu Gwarancyjnego tworzonego Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych „Praca”. Jest to forma pożyczki, która może zostać odsprzedana wyłącznie Towarzystwu według nominaku wraz z naliczonymi odsetkami po roku od zarejestrowania TUW „Praca”.

Bezwartościowe świstki papieru, które wciskane były członkom "S". Oczywiście za gotówkę.

Autor: andrzej

Artykuł pobrano ze strony [eioba.pl](http://eioba.pl)